

Temat tygodnia

- 12 Mariusz Janicki
Wiesław Władyka
Dlaczego PiS nie traci w sondażach?

Polityka

- 16 Joanna Sawicka
Wojciech Szacki
SLD: jak się wczłogać do Sejmu
- 18 Piotr Buras OGLĄD I POGLĄD
Racje i reparacje
- 20 Rafał Kalukin
Sellin – Jarosław od mediów

Społeczeństwo

- 22 Aleksandra Żelazińska
Mężczyźni też dziś dbają o urodę
- 25 O różnych moralnościach mówi dr hab. **Wojciech Pawlik**
- 28 Juliusz Ćwieluch
Kręte drogi polskich tirowców
- 32 Jan Rojewski
Szkoła zamknięta dla niepełnosprawnych dzieci

Rynek

- 34 Łukasz Wójcik
JP Morgan Chase: bank populizmu
- 38 Jak zmieni się rynek pracy po skróceniu wieku emerytalnego tłumaczy dr **Janina Petelczyk** z IPS UW
- 40 Adam Grzeszak
Polska według Balcerowicza
- 41 Jacek Poprzeczko
Praca według Wosia

Świat

- 42 Adam Krzemiński NIEMCY
Kto zostanie trzecią siłą
- 45 Tomasz Zalewski USA
Floryda: cena za raj
- 48 Dariusz Kałan WĘGRY
Niezależnym dziennikarzem pozostał internet
- 50 Artur Domosławski MJANMA
Premier-noblistka milczy o zbrodniach



16

SLD: noga na progu



22

Nowa męskość



45

Floryda: raj wart piekła



58

GMO: niech decydują argumenty, nie emocje

Historia

- 52 Marcin Czajkowski
Kazimierz Okniński: wariat czy zamachowiec?
- 55 Adam Szostkiewicz
Dominikanie a SB
- 56 Robert Kuśnierz
Dyplomaci II RP o prześladowaniu Polaków w ZSRR

Nauka

- 58 Edwin Bendyk
„W królestwie Monszatana”: ważny głos w sprawie GMO
- 62 Karol Jałochowski
Wszyscy jesteśmy halucynacją?

Kultura

- 68 Rozmowa z **Klementyną Suchanow**, autorką książki „Gombrowicz. Ja, geniusz”
- 72 Marcin Zwierchowski
Nowy „Star Trek”: najbardziej upolityczniony serial roku
- 75 KAWIARNIA LITERACKA
Mikołaj Łoziński
- 76 Aneta Kyzioł
Stary Teatr: ostatni akt?
- 78 MEA PULPA **Kuby Wojewódzkiego**

Ludzie i style

- 80 Rozmowa z reżyserem **Jerzym Gruzą**, który na festiwalu w Gdyni zostanie nagrodzony Platynowymi Lwami
- 83 Ryszard Wolff
Doping rodzicielski

Na własne oczy

- 92 Tekst i fotografie Marzena Wystrach
Boliwia: wspinaczka w spódnicy

Stałe rubryki

- 4 Mleczko i Mizerski
- 6 Ludzie i wydarzenia • 64 Afisz
- 86 Passent • 88 Hartman
- 89 Stomma • 90 Do i od redakcji
- 91 Fusy, plusy i minusy
- 98 Polityka i obyczajaje



SŁAWOMIR MIZERSKI Z ŻYCIA SFER

Minister daje wyraz

Jednym z niekwestionowanych osiągnięć tzw. dobrej zmiany jest wypromowanie wiceministra sprawiedliwości Patryka Jakiego – polityka przebojowego, potrafiącego swój bezkompromisowy stosunek do naszej rzeczywistości przekonująco wyrazić za pomocą trudnych słów, takich jak hatakumba. Niektórzy zarzucają Jakiemu, że jest to słowo, którego nie rozumie, ale prawda jest taka, że nie on jeden. Zresztą Jaki od dawna daje dowody, że rozumienie tego, co mówi, nie jest dla niego najważniejsze. Moim zdaniem najważniejsze, że jest wykształcony i nieobce są mu różne wyrazy, których używa chętnie i jest w tym autentyczny. Może będę kontrowersyjny, ale uważam, że gdy powiedział hatakumba, prawdopodobnie o coś mu chodziło, dlatego powinniśmy starać się go zrozumieć, chociaż oczywiście nie będzie to łatwe.

Ponieważ Patryk Jaki jest politykiem zamieszkałym w Warszawie, nic dziwnego, że tym, co go irytuje, jest panująca w owym mieście lewicowa ideologia „skoncentrowana na tym, żeby tępić ludzi jeżdżących samochodem” oraz „nakierowana na to, że wszyscy mają jeździć rowerem albo korzystać z chodnika”. Na taką ideologię Jaki zgody nie wyraża i trudno mieć mu to za złe, gdyż samochód jest symbolem nowoczesności,



a rower to prymitywny pojazd wieśniaków i lewaków, który w wielkim mieście tylko tamuje ruch. Uważam też, że Jaki słusznie sprzeciwia się korzystaniu z chodnika, bo jak wszyscy zaczęli korzystać, zrobi się taki tłok, że nie będzie gdzie na tych chodnikach parkować. Dlatego zgadzam się z propozycją Jakiego, żeby korzystanie z chodników ograniczyć, a ci, którzy po nich chodzą, niech kupią sobie samochody, a jak ich nie stać, to niech siedzą w domu.

Trochę się dziwię, że mimo tego, co Jaki mówi, panuje opinia, że nie ma on zielonego pojęcia, jak funkcjonuje miasto, i kompletnie nic nie wie o jego mieszkańcach. Za to – jak powiada – posiada „młodzieńczą pasję, którą można wiele osiągnąć”, i dlatego nie wyklucza, że wystartuje w wyborach na prezydenta stolicy. Mówi, że ostatecznej decyzji, czy ubiegać się o nominację na kandydata, jeszcze nie podjął, dlatego ze swojej strony apeluję: ubiegać się, panie Patryku, i się nie zastanawiać. Bo jeśli tacy jak pan, którzy się nie znają, ale mają młodzieńczą pasję, nie wystartują, na ich miejsce mogą wskoczyć inni, wśród nich może i tacy, którzy się na czymś znają. A jeśli któryś z nich wygra zamiast pana, będzie to taka hatakumba, na jaką moim zdaniem Warszawa sobie nie zasłużyła.

Ciągłość
dostaw energii
elektrycznej mimo
klęski żywiołowej,
pozwała ludziom
szybciej wrócić do
normalnego życia.



Przerwanie dostaw energii elektrycznej, od której tak wiele dziś zależy, często potęguje skutki klęski żywiołowej. Aby rozwiązać ten problem, pomagaliśmy opracować niezwykle wytrzymałe, ultralekkie słupy energetyczne. Po instalacji są wielokrotnie silniejsze od innych słupów i potrafią przetrwać najtrudniejsze warunki.

Dlatego też, gdy na obszary klęsk żywiołowych możliwe jest dostarczanie energii elektrycznej – to dzięki temu, że w BASF tworzymy chemię.

Jeżeli podzielasz naszą wizję,
wejdź na stronę wecreatechemistry.com

 **BASF**

We create chemistry

Polacy na Madagaskar



Jerzy Baczyński

WTOK FM, omawiając doroczne orędzie szefa Komisji Europejskiej Jeana-Claude'a Junckera „O stanie Unii”, prowadzący audycję (nazwisko znane redakcji), ku uciesze słuchaczy, przeżył się, nazywając przewodniczącego „Junckersem”. Junkers, jak wiadomo, to bombowiec z czasów drugiej wojny światowej, zwany też „sztukasem”, groźna i hałaśliwa niemiecka broń. Można sobie bez trudu wyobrazić, jak ten przypadkowy greps mógłby znakomicie wykorzystać Jan Pietrzak podczas występu na Festiwalu w Opolu, wplatając subtelnie Juncker(s)a w temat niemieckich reparacji wojennych albo w unijne naloty na Polskę. Tym razem jednak oficjalna propaganda jakby się zakrzuszyła, bo przewodniczący Komisji nie zagrał przypisanej mu roli „polakożercy”. Poza paroma aluzjami, nie wymienił negatywnie rządu PiS, dość zdecydowanie odrzucił plan Macrona, czyli budowy nowej Unii wokół strefy euro, ba, zasugerował, chyba szczególnie miłą prezesowi, możliwość likwidacji urzędu pełnionego dziś przez Donalda Tuska. Zapewne ostatni raz przed wdrożeniem wobec polskiego rządu sankcyjnego art. 7 za łamanie praworządności PiS otrzymał szansę, aby wyjść z twarzą z absurdalnego konfliktu z Komisją. Juncker dał sygnał, że Unia wciąż czeka na powrót Polski.

Do opisu stanu Unii wymyślano różne metafory: był pacjent z krowką, rower (który musi jechać, by się nie przewrócić); teraz jest moda na porównania kolejowe. Zatem: kończy się paroletni postój unijnego pociągu na stacji, która mogła być wręcz końcem wspólnej drogi; hamujący podróż wagon brytyjski został odczepiony; niemiecka lokomotywa gospodarcza kipi pod parą; kto teraz nie wsiądzie, zostaje na peronie. Faktycznie, od ubiegłorocznego smętnego orędzia Junckera nastroje w Europie zmieniły się diametralnie. Gospodarki unijne rosną w tempie nieznanym od dekady; opanowany został kryzys grecki; waluta euro ma się świetnie; dzięki porozumieniom z Turcją i Libią radykalnie ograniczono napływ imigrantów; antyunijni populiści przegrali wybory w Holandii i Francji, a w Niemczech zapowiada się triumf Angeli Merkel; ba, nawet Brytyjczycy, ku satysfakcji eurokratów, zaczynają dyskutować o „exicie z brexitu”. Lansowana przez Junckera koncepcja „Unii, która chroni” wydaje się dziś niezłą emocjonalną, a więc i polityczną, odpowiedzią na wewnętrzne i zewnętrzne zagrożenia dla Europejczyków. To nie jest oczywiście czas na nowy federalizm, jednak zaproszenie wszystkich krajów UE do strefy euro, plan ujednolicenia standardów socjalnych czy usprawnienia procesów decyzyjnych wyraźnie wskazują kierunek jazdy pociągu: więcej Europy. A my? Wsiadamy czy wysiadamy?

Jeśli odrzucić propagandowe zaklęcia, nie ulega wątpliwości, że wszystko, co robił PiS w sprawach europejskich, sugerowało wolę wyjścia, może nawet nie formalnego „polexitu” z Unii, ale faktycznego „euroexitu” z Polski. Podgrzewanie konfliktów w sprawie ochrony praworządności i niezależności sądownictwa, nielegalne wycinki Puszczy Białowieskiej, odmowa solidarności wobec imigrantów, teraz sprawa niemieckich reparacji – a przede wszystkim agresywna rządowa retoryka i propaganda antyunijna musiały być odbierane jako kroki w kierunku drzwi.

Na pytanie: dlaczego Oni tak czynią, jest kilka uzupełniających się odpowiedzi, choć żadnego dobrego wytłumaczenia. Jasne: przede wszystkim, żeby wyszłolić się z ograniczeń, jakie na każdy unijny rząd nakłada wspólnie przyjęte prawo; żeby zademonstrować swojemu elektoratowi buńczuczność suwerenności; żeby odsunąć Polskę PiS od wpływów Tuska i „jego poplecniczki Merkel”. Zapewne gra też rolę metoda polityczna PiS, czyli atakowanie każdego, kogo podejrzewamy o brak szacunku; zasada – sprawiać kłopoty, bo wtedy będą się z nami liczyć. Ale być może chodzi także o planowe formowanie własnego elektoratu. Jeśli PiS chce utrzymać ludowy, antyelitarny, scalony mitami i lękami, zamknięty charakter własnej formacji, musi niszczyć mit Zachodu, obowiązujący przez ostatnie dekady nakaz doganiania i upodabniania się do zachodniej Europy, przejmowania tamtejszych standardów ustrojowych, obyczajów, wzorców kultury. Rządzone autorytarnie, monopartyjne „katolickie państwo narodu polskiego” nie da się wmontować w unijną konstrukcję.

Jest jakaś fundamentalna, nieusuwalna sprzeczność między ideologicznymi założeniami państwa PiS a systemem przekonowań, na których została zbudowana Unia. PiS za istotę polityki uważa konflikt, obronę własnych interesów i suwerenności władzy, podtrzymywanie silnej tożsamości narodowej i religijnej, powrót do nieskrępowanego poprawnością, „naturalnego”, gorącego języka polityki. W takim zestawieniu Unia jest rzeczywiście tworem sztucznym, zimnym, wykycypowanym. W imię obrony Europy przed nawrotem morderczej historii, założyciele Wspólnoty zaproponowali Europejczykom historyczny eksperyment, zaprzeczający wszelkiej „naturalnej”, karmiącej się odruchami i stereotypami, czyli politycznym fast foodem, polityce. To było włączenie Niemców, przecież tuż po wojnie, w proces budowy Nowej Europy (czytaj s. 18), narzucenie koncyliacyjnego, wstrzemięźliwego języka społecznej i politycznej komunikacji, ideologia tolerancji i wzmocnienie, równoważenie poprzez instytucje brukselskie interesów członków wspólnoty. Nic z tego nie pasuje do PiS. Trudno więc liczyć, że partia wykorzysta „okno okazji” otworzone właśnie przez Junckera.

Niestety, także opozycja, oszołomiona sondażową popularnością PiS, wydaje się niegotowa, aby odpowiedzieć na wezwanie Junckera do wzmocnienia integracji i przyjęcia euro. Zapewne więc na dłużej zostaniemy na peronie.

Prezes Kaczyński użył ostatnio innej metafory, mówiąc o jego Polsce jako – czemu nie? – samotnej „wyspie wolności i tolerancji”. Jakby PiS zamierzał przesiedlić nas z Europy na polityczny Madagaskar, gdzie – jak w filmie o tymże tytule – w państwie lemurów rządził gdzieś ekscentryczny kacyk. To jest dużo śmieszniejsze niż występ Pietrzaka w Opolu. Tyle że nie możemy opuścić amfiteatru.

Jan Koza



© JAN KOZA



Łaska stanu

Decyzje prezydenta w sprawie ustaw o SN i KRS powiedzą nam bardzo wiele o tym, czego możemy się po nim spodziewać w drugiej części jego prezydentury.

Audience – bo trudno nazwać je konsultacjami – jakich w ubiegłym tygodniu prezydent Andrzej Duda udzielił delegacjom sejmowych klubów parlamentarnych, nie przyniosły wielu informacji dotyczących projektów ustaw o Sądzie Najwyższym i Krajowej Radzie Sądownictwa, przygotowywanych w prezydenckiej kancelarii. Z wypowiedzi przedstawicieli klubu Kukiz'15 wynikałoby jednak, że prezydent podtrzymuje pomysł wybierania przez Sejm (większością 3/5) sędziów do KRS. Taka zmiana byłaby ewidentnie zła, gdyż sędziowie staliby się nominatami politycznymi, a nie jak dotychczas reprezentantami samorządu sędziowskiego.

Z kolei z wypowiedzi prof. Michała Królikowskiego, biorącego udział w pracach nad ustawami, wynika, że prawdopodobne jest obniżenie wieku emerytalnego sędziów z 70 do 65 lat, co umożliwiłoby usunięcie z Sądu Najwyższego połowy jego składu. Takie rozwiązanie, wątpliwe pod względem jego zgodności z konstytucją, także nie jest dobrym sygnałem dla zwolenników utrzymania niezależności wymiaru sprawiedliwości od władzy politycznej.

Współpracownicy głowy państwa zapowiadają, że prezydenckie projekty ustaw zostaną ogłoszone w ostatnim tygodniu września. Niebawem więc okaże się, czy rację mają ci, którzy sceptycznie oceniają szanse, iż prezydent Duda stanie się sojusznikiem obrońców niezależności wymiaru sprawiedliwości. Czy też lepiej przewidywali optymiści, którzy sądzili, że logicznym następstwem decyzji podjętych przez prezydenta pod koniec lipca powinno być jego wyemancypowanie się spod przemożnego wpływu Jarosława Kaczyńskiego i przeciwstawienie się jego ustrojowym planom.

Bez względu na to, kto ma rację, dwie sprawy są już teraz oczywiste: decyzje prezydenta powiedzą nam bardzo wiele o tym, czego możemy się po nim spodziewać w drugiej części jego prezydentury. Będą one także miały wielki wpływ na rozwój sytuacji politycznej i na kształt ustrojowy Polski.

Andrzej Duda fatalnie rozpoczął swoją prezydenturę. Decyzje o „ułaskawieniu” Mariusza Kamińskiego i jego współpracowników, o odmowie zaprzysiężenia prawidłowo wybranych sędziów Trybunału Konstytucyjnego i zaprzysiężenie sędziów-dublerów otwierały trwający ponad półtora roku okres, w którym prezydent sprawiał wrażenie człowieka całkowicie politycznie podporządkowanego Jarosławowi Kaczyńskiemu i posłusznie wypełniającego rolę, jaką mu wyznaczono. Nic więc dziwnego, że pierwsze weto prezydenckie wobec ustawy przegłosowanej przez PiS, dotyczącej Regionalnych Izb Obrachunkowych, rzadko było interpretowane jako dowód, że coś zmienia się w relacjach pomiędzy prezydentem a partią, z której się wywodzi.

Inaczej było z wetami prezydenckimi dotyczącymi ustaw o Sądzie Najwyższym i KRS. Wyraźna większość Polaków, interesujących się sprawami publicznymi, była nimi zaskoczona. Ja także. Być może nie zdarzyłyby się, gdyby nie lipcowe protesty uliczne, bez wątpienia najliczniejsze od objęcia władzy przez PiS. Mylili się jednak ci obserwatorzy naszego życia politycznego, którzy w decyzji prezydenta Dudy widzieli taktyczny manewr uzgodniony z Jarosławem Kaczyńskim. Złość i chaos w obozie rządzącym po decyzji prezydenta były autentyczne i zbyt widoczne, aby uznać je za element

makiawelicznego planu prezesa PiS. Telewizyjne orędzie pani premier, polemizujące z prezydencką decyzją, świadczyło o tym, że konflikt w obozie władzy jest faktem. Późniejsze wymiany złośliwości pomiędzy prezydenckim rzecznikiem a współpracownikami ministra Ziobry tę tezę potwierdzały.

Projekty ustaw, które w przyszłym tygodniu ma przedstawić prezydent Duda, pozwolą nam odpowiedzieć na pytanie o istotę tego sporu. Czy dotyczy on przede wszystkim pozycji prezydenta w obozie władzy? Jeśli tak jest, prezydent przedstawi projekty, których filozofia niewiele będzie się różnić od tych, jakie z inspiracji ministra Ziobry firmowali posłowie PiS. Zasadnicza różnica będzie wówczas sprowadzać się do tego, że kompetencje, które w zawetowanych ustawach były przypisane ministrowi sprawiedliwości, zostaną przyznane prezydentowi.

Jest jednak także druga możliwość. Polega ona na tym, że Andrzej Duda zrozumiał, iż ustrojowy plan Jarosława Kaczyńskiego szkodzi Polsce, a także jego własnej pozycji i karierze.

Ta ewentualność jest mniej prawdopodobna, ale nie można jej wykluczyć. Tadeusz Mazowiecki używał określenia „łaska stanu”. Uważał, że bywają politycy, wcale nie najwyższych lotów, którzy obejmując wysoki urząd, zaczynają dojrzywać do wzięcia odpowiedzialności za państwo. Jedno jest pewne. Andrzej Duda ma jeszcze – pomimo złych początków swej prezydentury – szansę na odegranie pozytywnej roli w historii Polski. Zależy to jednak od jego rzeczywistych poglądów, charakteru i politycznej wyobraźni.

Ustrojowy plan Jarosława Kaczyńskiego jest klarowny. Jego celem jest ustanowienie autorytarnego, scentralizowanego państwa przy zachowaniu fasady instytucji demokratycznych. Tego planu nie można zrealizować, zachowując sądownictwo niezależne od władzy politycznej. Ostatnie ogniwo łańcucha musi zostać domknięte. Obok dyspozycyjnego funkcjonariusza służb i dyspozycyjnego prokuratora musi pojawić się dyspozycyjni, a przynajmniej przestraszony, sędzia.

Nawet jeśli prezydent Duda nie przyłoży jeszcze raz ręki do dalszego tamszenia władzy sądowniczej i tak będzie się ona znajdowała w niezmiernie trudnym położeniu. W dużym stopniu przyczyniło się do tego stanu rzeczy podpisanie przez prezydenta ustawy o organizacji sądów powszechnych, dającej ministrowi sprawiedliwości wielką władzę nad sądami i sędziami. Trybunał Konstytucyjny już został sprowadzony do roli posłusznego narzędzia władzy politycznej, a poziom jego przewodniczącej i wiceprzewodniczącego stanowi prognozyk, jak może wyglądać obsada Sądu Najwyższego w wypadku realizacji planów Prawa i Sprawiedliwości.

Trwa bezprecedensowa kampania rządowa dyskredytująca sędziów. Dziwne to państwo, w którym jedna z władz państwowych niszczy z premedytacją autorytet innej. Sędziowie są w trudnej sytuacji, ale będą w znacznie gorszej, jeśli prezydent ograniczy się jedynie do wprowadzenia kosmetycznych zmian w projektach ustaw przygotowanych przez PiS. Trzeba będzie wówczas liczyć na to, że społeczeństwo obywatelskie zmobilizuje się tak, jak stało się to w lipcu.

Kobiety jak bestie

Internowanie kobiet w ciąży używających alkoholu lub innych substancji odurzających zaproponował rzecznik praw dziecka Marek Michalak.

Gotowy projekt trafił do prezydenta. Ideę popierają organizacje pro-life, Kościół na razie milczy. W wielu środowiskach inicjatywę rzecznika uznano za kolejny przykład odbierania polskim kobietom podmiotowości. Ale to objaw szerszego zjawiska cywilizacyjnego.

Zmiana prawa miałaby przeciwdziałać rodzeniu się dzieci z płodowym zespołem alkoholowym FAS. Zespół

występuje w różnym nasileniu: od nadpobudliwości i trudności w koncentracji po poważne upośledzenie umysłowe, zaburzenia psychiczne i neurologiczne. Jak podkreśla RPD, dla ciężarnych nie ma bezpiecznej dawki alkoholu czy innej substancji odurzającej. Ani bezpiecznej częstotliwości ich przyjmowania. Stąd w projekcie ustawy zapis, że internowanie wcale nie ma dotyczyć tylko kobiet uzależnionych, ale każdego „przy padku spożywania alkoholu przez kobietę w ciąży, używania przez nią narkotyków lub innych substancji psychoaktywnych”. Jeśli ktoś złoży na kobietę doniesienie na policję, do prokuratury lub do sądu rodzinnego – wszczynane ma być postępowanie cywilne, które może zakończyć się przymusowym umieszczeniem jej na oddziale leczniczym. W praktyce będą to oddziały odwykowe w szpitalach psychiatrycznych. Tam ma być poddana terapii „w celu pomocy w zachowaniu przez nią abstynencji”. Krzysztof Brzózka, szef Państwowej Agencji Rozwiązywania Problemów Alkoholowych, nie popiera tego pomysłu.

Propozycja RPD nie wzięła się znikąd. Od 2013 r. w mediach pojawia się więcej informacji o pijanych kobietach w ciąży. Np. w Gdyni kobieta urodziła dziecko, będąc kompletnie pijana. W Poznaniu do szpitala z zatruciem alkoholowym trafiła kobieta w ósmym miesiącu ciąży. W Tomaszowie Mazowieckim pijana ciężarna straciła przytomność w sklepie monopolowym, kupując alkohol.

Prokuratura przegrywała w sądach sprawy karne przeciw pijącym w ciąży o „narażenie na bezpośrednie niebezpieczeństwo utraty życia albo ciężkiego uszczerbku na zdrowiu”, bo ten przepis dotyczy tylko człowieka urodzonego. Jest wprawdzie przestępstwo spowodowania „uszkodzenia ciała dziecka poczętego lub rozstroju zdrowia zagrażającego jego życiu”, ale kobieta nie może być z tego przepisu ukarana. Sąd rodzinny może natomiast ograniczyć prawa rodzicielskie matki, ustanawiając dla płodu kuratora (art. 182 Kodeksu rodzinnego i opiekuńczego). I są takie sprawy. Ale ani kurator, ani sąd nie mają jak wyegzekwować od ciężarnej powstrzymania od odurzania się. Uzależnioną kobietę w ciąży, jak każdego, można skierować na przymusowe leczenie zamknięte na podstawie ustawy o wychowaniu w trzeźwości. Takie przepisy obowiązują przynajmniej od czasów PRL. Różnica polega na tym, że ustawa RPD nie dotyczy wyłącznie kobiet uzależnionych, lecz wszelkiego użycia przez kobietę w ciąży środka odurzającego.

Polskie prawo pozwala odbierać wolność także w przypadkach niezwiązanych z popełnieniem przestępstwa, ale w przypadku uzależnienia chory musi być uciążliwy dla otoczenia, a chory psychicznie – zagrażać sobie lub innym. Podobnie w sytuacji epidemii choroby zakaźnej (w latach 90. domagano się w Polsce

internowania nosicieli wirusa HIV). Pozbawianie wolności dla ochrony przed szerezeniem choroby zakaźnej dopuszcza np. Europejska Konwencja o Ochronie Praw Człowieka. Wszystkie te przypadki dotyczą jednak ochrony praw innych osób.

Czy płód jest człowiekiem? Pomysł RPD Marka Michalaka to prosta kontynuacja sporu „od kiedy zaczyna się człowiek”. Czyli sporu aborcyjnego, którego przedłużeniem jest debata nad dopuszczalnością zapłodnienia in vitro i eksperymentów nad komórkami macierzystymi pochodzącymi od ludzkich płodów. Ten spór nie został rozstrzygnięty przez międzynarodowe konwencje praw człowieka, w tym konwencje bioetyczne. Pozostawia się je ludzkiemu sumieniu i prawu poszczególnych państw. Najczęściej przyjmuje się, że płód zasługuje na ochronę, choć nie taką samą jak człowiek urodzony.

Z jednej strony mamy więc prawa osoby urodzonej, z drugiej – płodu. obrońcy życia poczętego powiedzą: te wartości są nierówne – z jednej strony wolność osobista, z drugiej życie i zdrowie. A życie i zdrowie są ważniejsze. obrońcy wolności powiedzą natomiast, że nierówne są podmioty: człowiek urodzony i istota, która będzie człowiekiem dopiero po urodzeniu (w wersji łagodniejszej po obu stronach jest człowiek, ale ten neurodzony nie ma jeszcze pełni praw).

Pomysł RPD to milowy krok w stronę zrównania statusu człowieka urodzonego i płodu. Michalak powołuje się na to, że – w myśl ustawy o RPD – chronić on ma interesy dziecka „od poczęcia”. Proponuje zatem wprowadzenie do prawa cywilnego pojęcia „dziecka nienarodzonego” jako podmiotu praw. Gdy to się stanie i płód zostanie uznany za „dziecko”, uruchomi się obowiązująca (i słusznie) w prawie rodzinnym zasada, że „dobro dziecka” ma pierwszeństwo także przed np. interesem rodzica. To zaś może usprawiedliwiać dalsze ograniczanie wolności kobiet: np. internowanie, jeśli ktoś złoży donos, że planuje ona dokonać aborcji lub

prowadzi niezdrowy czy ryzykowny tryb życia. Wolność kobiety ograniczy się wówczas na rzecz ochrony płodu traktowanego jak człowiek urodzony. Może więc dochodzić do paradoksalnych sytuacji: płód będzie jako pacjent lepiej chroniony niż dziecko urodzone, bo na jakiegokolwiek czynności medyczne wobec dziecka urodzonego mogą nie zgodzić się jego rodzice – jak miało to miejsce tydzień temu w szpitalu w Białogardzie.

Ubezwłasnowolnienie kobiet. Taka interpretacja wprost wynika z proponowanej przez RPD ustawy, bo zakłada ona, że internowanie kobiety w ciąży jest dopuszczalne, nawet gdy nie jest uzależniona, a odurza się okazjonalnie. Jednak zgoda na tak daleko idącą ingerencję to równia pochyła. Można sobie wyobrazić prawo nakładające na ciężarne kolejne ograniczenia, np. zakaz palenia, bo wiadomo, że może powodować niższą wagę urodzenia u dziecka, przedwczesny poród lub poronienie, problemy dziecka z krążeniem, niedorozwój płuc i większe ryzyko tzw. śmierci łóżeczkowej. Zakaz niewłaściwego odżywiania się (np. głównie w fast foodach). Zakaz zachowań ryzykownych,



jak jazda na nartach czy rowerze. Tu warto przypomnieć projekt nowelizacji Kodeksu karnego przygotowany za rządów w Ministerstwie Sprawiedliwości Jarosława Gowina przez Komisję Kodyfikacyjną Prawa Karnego, gdzie wprowadzano karalność kobiety za przyczynienie się do śmierci „dziecka poczętego zdolnego do życia poza organizmem matki”. Przewodniczący tej komisji prof. Andrzej Zoll tłumaczył, że takim przyczynieniem się mogą być właśnie zachowania ryzykowne, jak wypicie pół litra wódki czy jazda na rowerze w zaawansowanej ciąży (ostatecznie z tego przepisu zrezygnowano).

W krajach, gdzie legalne jest rodzenie dzieci przez tzw. matki zastępcze, zawiera się umowy cywilne z tymi kobietami, które zobowiązują je do określonego trybu życia pod rygorem zapłaty odszkodowania. Różnica polega na tym, że jest to kontrakt zawierany dobrowolnie, a surorka może stawiać własne warunki.

RPD nie proponuje, żeby karać partnera kobiety ciężarnej czy jej otoczenie za zachowania, które wywołują u niej intensywne złe samopoczucie. Chociaż stres matki też negatywnie wpływa na dziecko w jej łonie. Można więc powiedzieć, że projekt RPD to realizacja wizji kobiety jako chodzącego inkubatora, której zadaniem jest dbanie o przyrost naturalny zdrowych Polaków. I która nie jest równoprawnym podmiotem praw i wolności. Wizja, w którą wbudowana jest dyskryminacja ze względu na płeć.

Zasada proporcjonalności. Rzecznik praw obywatelskich Adam Bodnar zapowiedział, że zbada, czy środki zaproponowane przez RPD, czyli pozbawienie kobiety wolności, są proporcjonalne do celu: ochrony zdrowia płodu. I czy tego celu nie można osiągnąć mniej drastycznymi metodami. Zwrócił uwagę, że RPD przygotował swoją propozycję bez analizy skali problemu i przyczyn nieskuteczności dotychczasowych metod jego rozwiązywania. Podaje jedynie statystykę rodzenia się dzieci z zespołem FAS – 9 tys. rocznie. I to, że do picia alkoholu w ciąży przyznaje się 30 proc. kobiet. Ale ile z tych przypadków dotyczy kobiet, które nie odurzają się nałogowo? Jak prowadzone są akcje edukacyjne? Czy oprócz ulotek „nie pij w ciąży” nie można stosować skuteczniejszych metod: billboardy, spoty telewizyjne i radiowe, inne kampanie społeczne, wykorzystanie popularnych seriali telewizyjnych? A przede wszystkim kontrolę lekarską. („Becikowe” może dostać tylko kobieta, która regularnie, od 3. miesiąca ciąży, chodzi do ginekologa. Lekarz może wtedy rozmawiać z nią na temat skutków odurzania się w czasie ciąży). Wreszcie: czy mamy bezpłatne, dostępne w całym kraju grupy terapeutyczne dla ciężarnych kobiet z problemem odurzania się? I czy nie można odbierać „becikowego” kobiecie, która np. nie skorzysta z takiej oferty?

Jeśli nie wypróbuje się na serio najpierw edukacji i innych metod profilaktycznych, nie można sięgać po pozbawianie kobiet wolności, bo – z punktu widzenia zarówno polskiej konstytucji, jak i standardów europejskich i ONZ jest to środek nieproporcjonalny do celu, a więc niedopuszczalny. Tymczasem w Polsce każdy problem przywykliśmy załatwiać kryminalizacją, podnoszeniem kar, ograniczaniem praw i wolności.

Propozycja RPD to kontynuacja trendu istniejącego w Polsce – i nie tylko – od kilkunastu lat: odchodzenia od fundamentu dotychczasowych standardów praw człowieka, czyli zasady ochrony indywidualnej godności. Dzieje się to w imię ochrony interesów społeczeństwa. Przykładem tajne więzienia CIA i dopuszczanie tortur, masowa, totalna inwigilacja jako warunek bezpieczeństwa, zamykanie granic przed uchodźcami, pomysł „chemicznej kastracji pedofilów” czy tzw. ustawa „na bestie”, która dopuszcza bezterminowe pozbawienie wolności na podstawie podejrzenia, że ktoś „może być” niebezpieczny.

EWA SIEDLECKA

KOMENTARZ



Paweł Walewski

Lekarze złapani w sieci

Ministerstwo Zdrowia zaserwowało lekarzom po studiach kolejny e-bubel. W dodatku naszym kosztem.

W tym roku rekrutacja lekarzy na miejsca specjalizacyjne przebiega z wyjątkowymi kłopotami, ponieważ resort zdrowia uruchomił niedopracowany System Monitorowania Kształcenia. System przygotowany przez agendę ministerstwa, czyli Centrum Systemów Informacyjnych Ochrony Zdrowia, miał wprowadzić nową jakość: uwolnić lekarzy od osobistego dostarczania dokumentów do urzędów wojewódzkich, sprawić, że po zalogowaniu ze swojego komputera będą mogli przekazać właściwym organom niezbędne informacje potrzebne przy ubieganiu się o rezydenturę. – *Miał być XXI w., a jest gorzej, niż było, ponieważ program się zawiesza i jest w nim mnóstwo luk, które uniemożliwiają dokonanie rejestracji* – mówi Natalia Jakacka, kolejny tydzień czekająca na rzeczowe instrukcje z resortu, jak ma przejść procedurę rejestracji i zamieścić w formie plików wszystkie dokumenty, które wymagane są do złożenia wniosku o przyznanie rezydentury.

Wcześniej kłopoty mieli przystępujący 23 września do Lekarskiego Egzaminu Końcowego podczas przymusowego już składania wniosków poprzez system. Najpierw 250 osób (spośród ok. 6 tys. składających aplikacje) otrzymało wskutek błędu oprogramowania informację, że na egzamin muszą się zgłosić w zupełnie innych miastach, a gdy ten problem udało się (już nie komputerowo, lecz telefonicznie!) rozwiązać, wyszło na jaw, że wiele z nich nie doczekało się na automatyczną weryfikację prawa do zdawania egzaminu, więc musi aplikować powtórnie dopiero za pół roku. Stracą 6 miesięcy pozostawieni bez nauki i pracy. Czy raczej to my będziemy musieli czekać o pół roku dłużej na młodych specjalistów?

Dominik Ngyuen, kończący staż w jednym z warszawskich szpitali, wymienia niedopatrzenia w programie: – *System nie przewiduje dołączenia w formie pliku zaświadczenia o średniej ze studiów. Absolwentki, które w ostatnim czasie wyszły za mąż i zmieniły nazwisko, nie mogą uaktualnić swoich personaliów. Na wpisanie wyniku egzaminu końcowego nie przewidziano miejsc po przecinku, choć podaje się je do setnych procentu, gdyż nieraz niewielkie różnice decydują o pierwszeństwie w zdobyciu etatu.*

Już pod koniec kwietnia, gdy minister Konstanty Radziwiłł podjął decyzję o starcie nowego systemu, przyznał bez ogródek: „Zdaję sobie sprawę, że lekarze w zasadzie będą rozpoznawali sytuację bojem”. Mimo znanych problemów z systemem urzędnicy departamentu nauki i szkolnictwa wyższego MZ nie widzą możliwości, aby zadośćuczynić prośbom lekarzy i przesunąć obowiązujący termin składania dokumentów (30 września) choćby o dwa tygodnie. Wygląda to, jakby Ministerstwo Zdrowia znalazło sposób, by nie tylko ostudzić zapał młodych lekarzy do pracy w Polsce, ale i zaoszczędzić trochę pieniędzy na rezydenturach, które umożliwiają absolwentom medycyny zdobywanie specjalizacji na etatach finansowanych z budżetu państwa. Nie są to specjalnie wielkie gaże, bo lekarz rezydent otrzymuje co miesiąc 2200 zł netto, ale lepszy rydz niż nic – rezydentur jest i tak mniej (4097), niż wynosi liczba aplikujących medyków (ok. 5–6 tys.). Ministrze, *cura te ipsum!*

PAWEŁ WALEWSKI



Spór o prawo do referendum w kwestii uniezależnienia się Katalonii rozgrała całą Hiszpanię.

Scenariusz rozvodu

Za niecałe dwa tygodnie 500-letni związek Hiszpanów i Katalończyków może przestać istnieć. Ale rządy po obu stronach wciąż roztrząsają, czy Katalończycy w ogóle mają prawo przeprowadzić referendum. Premier Mariano Rajoy podkreśla, że działania Katalończyków są nielegalne. Przypomina, że w obowiązującej konstytucji zapisano, iż Hiszpania jest „wspólną i niepodzielną ojczyzną wszystkich obywateli”. Próbuje zablokować plebiscyt i bada, czy można postawić zarzuty politykom odpowiedzialnym za jego organizację.

Tymczasem Katalończycy pomijają konstytucję i powołują się na dokument ONZ mówiący o prawie narodów do samostanowienia. Podkreślają chęć dialogu z centralą, ale jednocześnie przypominają, że referendum chciała większość, a 41 proc.

Katalończyków jest już nawet przekonanych, że rozwód jest nieunikniony. Nieodmiennie padają argumenty ekonomiczne: że Katalonia generuje ponad 20 proc. krajowego PKB i dostaje niewiele w zamian. Rząd w Katalonii stara się nie wzbudzać emocji, tłumaczy, co czeka Katalończyków, jeśli 1 października większość z nich opowiedziałaby się za rozstaniem. Miejscowy parlament uchwalił nawet ustawę o okresie przejściowym, opisującą dokładnie sytuację w nowym państwie, w tym m.in. obowiązujące języki, sprawę obywatelstwa, władzy ustawodawczej i sądowniczej.

Madryt przekonuje jednak, że separatyści karmią ludzi kłamstwami, żeby wzmocnić katalońskie poczucie wielkości. Nie mówią np. o unijnych konsekwencjach rozvodu – jak sugeruje sama Bruksela, jeśli Katalonia wybierze niepodległość, będzie to również niepodległość od Unii Europejskiej.

Hinduski pocisk

Indie będą miały swojego shinkansena, ruszyła właśnie budowa potrzebnej infrastruktury. Pierwszy 750-osobowy pociąg pocisk ma pojechać w sierpniu 2022 r. Linia połączy Mumbaj z leżącym ponad 500 km na północ miastem Ahmedabad i skróci podróż z 8 do 2 godzin. Pociąg ma gnać do 350 km/h, co nawet przy najszybszym jeżdżącym dzisiaj w Indiach składzie oznacza dwu-, a nawet trzykrotnie zwiększoną prędkość. System kolejowy w Indiach obsługuje ponad 22 mln pasażerów dziennie, a większość sprzętu jest przestarzała, co prowadzi do częstych wypadków i opóźnień. Każdy, kto kiedykolwiek widział kolej w Indiach, wie, że budowany shinkansen będzie cywilizacyjną zmianą. Spełnieniem przedwyborczych obietnic premiera **Narendry Modiego** (na fot. z prawej), a przy okazji jednym

z elementów zacieśniania współpracy z Japonią, która pożyczyla na tę inwestycję blisko 17 mld dol., wcześniej podpisała umowę, zgodnie z którą hinduski Gudzarat dostarcza części do japońskich fabryk samochodów. Japonia wspólnie z Indiami buduje front przeciwko Chińczykom, którzy mają zatargi o ziemię z oboma państwami.



Kurdyjskie teraz albo nigdy?

Amerykane, Irańczycy i Turcy nie chcą kurdyjskiej niepodległości, choć z różnych powodów.

Tydzień przed Katalończykami o swojej niepodległości mają zdecydować Kurdowie z Iraku. 25 września głosowanie odbędzie się w Kurdyjskim Regionie Autonomicznym na północy Iraku oraz na terenach pod kontrolą sił kurdyjskich, tj. w Kirkuku i obszarach odebranych tzw. Państwu Islamskiemu. W sumie prawo do głosu ma ok. 6 mln osób. Na referendum nie zgadza się rząd w Bagdadzie, który trafnie wskazuje, że to wbrew konstytucji kraju. Kurdowie twierdzą jednak, że iracki rząd również łamie prawo, bo sam nie dopuścił do plebiscytów na spornych



Manifestacja zachęcająca irackich Kurdów do głosowania na rzecz niepodległości i własnego państwa.

terenach i – wbrew konstytucji – od trzech lat nie wypłaca kurdyjskiej autonomii 17 proc. budżetu.

Nie ma wątpliwości, że większość głosujących będzie za niepodległością. Dlatego mocarstwa i sąsiedzi próbują nakłonić premiera autonomii Masuda Barzaniego do odwołania referendum. To jedna z niewielu spraw, w której zgodni są Amerykanie, Irańczycy i Turcy – choć z różnych powodów. Waszyngton boi się, że odłączenie się Kurdów to będzie koniec Iraku i początek chaosu w regionie. Teheran jest przekonany, że niepoległy Kurdistan u granic Iranu nawiąże bliskie relacje z Izraelem, jedynym państwem regionu popierającym głosowanie. Turcy natomiast, mimo wieloletniej współpracy z Barzaniem, obawiają się jednak napomowienia aspiracji własnych Kurdów. W wyniku tej zmasowanej presji dyplomatycznej Barzani – po dwóch latach przerwy – zwołał nawet parlament autonomii, który mógłby przełożyć referendum. Ale Kurdowie zawsze mieli nie po drodze z opinią międzynarodową. Różnica jednak polega na tym, że nigdy nie byli tak silni jak dziś.



© AP/EAST NEWS

Selekcja, nie elekcja

Halimah Jacob była najpopularniejszą kandydatką na stanowisko prezydenta Singapuru, ale po zdobyciu przez nią stanowiska w zeszłym tygodniu mieszkańcy kraju wyrazili powszechne oburzenie. To dlatego, że (jak głosi rozpowszechniany tam mem) wybory okazały się „selekcją, a nie elekcją”: dwaj konkurenci polityczki zostali bowiem w ostatniej chwili wykluczeni przez państwową komisję wyborczą, więc nominacja odbyła się bez żadnego głosowania.

Choć za granicą Singapur jest znany przede wszystkim jako czyste i bezpieczne państwo-miasto z ogromnym sukcesem gospodarczym na koncie, to w rzeczywistości jest to mała autokracja, od samej niepodległości rządzona wciąż

przez to samo ugrupowanie – Partię Akcji Ludowej. Jego politykom zależy na prezentowaniu ojczyzny jako otwartej i tolerancyjnej, dlatego w tym roku o fotel prezydenta mogli się ubiegać tylko kandydaci z etnicznej mniejszości malajskiej, co już wcześniej rozwścieczyło Singapurczyków, mających w większości chińskie pochodzenie. Stanowisko głowy państwa jest jedynie ceremonialne, całość władzy spoczywa bowiem w rękach premiera (który jest synem poprzedniego szefa rządu, sprawującego urząd nieprzerwanie przez kilkadziesiąt lat), ale partia wolała dmuchać na zimne, eliminując kandydatów niezależnych i de facto mianując swoją byłą posłankę. A ta, jak się okazało po nominacji, nie jest stuprocentową Malajką, ma też bowiem pochodzenie indyjskie. Obiecuje jednak, że będzie służyć wszystkim Singapurczykom bez względu na ich korzenie.

Małżeństwa drogą listową

Od wtorku 16 mln Australijczyków zapisanych na listach wyborczych powinno spodziewać się oficjalnego listu z pytaniem, czy należałoby zmienić prawo, dopuszczając małżeństwa osób tej samej płci. Tę pionierską w Australii, choć odrobinę archaiczną, formę konsultacji społecznej, wybrał konserwatywny rząd Malcolma Turnbulla. Jeśli większość opowie się za zmianą, decyzję w tej sprawie podejmie parlament. Jeśli będzie przeciwna, sprawa upadnie, tak jak to dzieje się od ponad 10 lat, kiedy upadały kolejne podobne inicjatywy.

Niby sprawa jest przesądzona: według ostatniego sondażu 63 proc. jest tu za małżeństwami tej samej płci, a aprobata homoseksualizmu należy w Australii do najwyższych na świecie. Ale w przeciwieństwie do wyborów i referendum, gdzie istnieje obowiązek głosowania (co daje ok. 80-proc. frekwencję), ten listowny sondaż, organizowany zresztą przez Australijski Urząd Statystyczny, jest dobrowolny i niezobowiązujący.

Z kolei istnieje obawa, że niedoreprezentowani będą ludzie młodzi, którzy w olbrzymiej większości są za, ale mogą mieć kłopot z odesłaniem listu, bo nie mają już z tym doświadczenia. Co innego, gdyby to się działo w internecie. Nadreprezentowani będą konserwatywni oldboje.

Obrońcy praw człowieka podnoszą, że w kwestii podstawowych praw pewnej grupy nie powinno decydować ogólnospołeczne głosowanie (te prawa się po prostu ma), a środowisko LGBT obawia się, że przy okazji debaty wyleje się morze hejtu, co w sumie zaszkodzi sprawie. Tu akurat pospiesznie wprowadzono antyhejtową legislację, przewidującą wysokie kary. Ogólnie większość opowiada się za tym, że decyzję powinien, bez konsultacji, podjąć parlament – i kropka. Od tego jest. Ale Turnbull obiecał konsultację społeczną w kampanii wyborczej i słowa chce dotrzymać. Wyniki pocztowego sondażu znane będą dopiero 15 listopada. To nie internet.

Koniec komedii

Kabaretowy komik został prezydentem Gwatemali, co okazało się kabaretem.

Większość członków gwatemalskiego Kongresu zagłosowała przeciwko odebraniu immunitetu prezydentowi **Jimmy'emu Moralesowi** – zdaniem komentatorów dlatego, że sami są jeszcze bardziej skorumpowani niż on. Przed wyborem na prezydenta w styczniu zeszłego roku był znany przede wszystkim jako aktor przedstawiający wraz ze swoim bratem skecze komediowe w popularnym programie telewizyjnym „Morały”. Po tym, jak poprzedni prezydent Otto Pérez Molina został jeszcze przed końcem kadencji oskarżony o przyjmowanie łapówek, pozbawiony immunitetu oraz osadzony



© AP/EAST NEWS

w areszcie, Morales przedstawił Gwatemalczykom swoją kandydaturę jako człowieka spoza układów i pod hasłem „Ani skorumpowany, ani złodziej” zdobył głosy dwóch trzecich wyborców.

Ale na początku tego roku śledztwem w sprawie przyjmowania w jego imieniu nielegalnych dotacji, w tym od zorganizowanych grup przestępczych, zostali objęci jeden z synów Moralesa oraz jego brat (ten od kabaretu). W zeszłym miesiącu prezydent próbował więc wydalic z kraju Kolumbijczyka stojącego na czele działającej pod egidą ONZ komisji antykorupcyjnej, która prowadzi to dochodzenie – jego decyzję zablokował jednak Sąd Najwyższy, który równocześnie skierował do parlamentu wniosek o wszczęcie procedury odebrania mu immunitetu. Choć Morales ostatecznie uniknął tego losu, to byłemu komikowi chyba mało do śmiechu.

Codzienna porcja ciekawych informacji ze świata w aplikacji **Fizki Polityki**.



500 plus demokracja

Kiedy i czy w ogóle spadnie poparcie dla partii Kaczyńskiego? Czy opozycja ma jakiegokolwiek szanse? Na półmetku parlamentarnej kadencji nie ma w polskiej polityce ważniejszych pytań.

MARIUSZ JANICKI, WIESŁAW WŁADYKA

O

pozycja, patrząc na sondaże z ostatnich tygodni musi przeżywać katusze. PiS szybuje ponad 40 proc., Platforma spada już poniżej 20, Nowoczesna nie może trwale przebić 10, a ludowcy są pod progiem. Rafał Trzaskowski z Platformy, komentując (w RMF) spadki notowań swojej partii i wzrosty PiS, stwierdza, że „to porażające wyniki” oraz że partia rządząca „nawiązała kontakt z olbrzymią częścią społeczeństwa, z którą my nie nawiązaliśmy kontaktu”. Ten lider młodszego pokolenia platformersów, wymieniany jako ewentualny następca Schetyny, zauważa, że gdyby PiS nie podejmowało sensownych decyzji, „nie wyciągało ludzi z biedy”, to „nie miałyby takich wyników”. Także w „Gazecie Wyborczej” zdarzają się ostatnio komentarze głoszące, że totalna opozycyjność wyczerpuje swoją formułę, nie przynosi przyrostu notowań, a wręcz przeciwnie. Zwłaszcza że o ile w sondażach poparcia dla partii na PiS wskazują wszyscy zwolennicy tej partii, to opozycję wybiera tylko część przeciwników Kaczyńskiego. Jakkolwiek by patrzeć, w tej chwili opozycja jest na ścieżce wyborczej klęski.



Trudno się dziwić nastrojom zwątpienia. Wyniki sondaży po kryzysie związanym z tzw. reformami sądownictwa, jakie zaproponował PiS, nie pozostawiają wątpliwości. Po wielotysięcznych demonstracjach przeciwko polityce rządu swoje notowania znacznie poprawił prezydent Duda, ale także – bardzo wyraźnie – pozostający z nim w sporze PiS. Straciła natomiast opozycja, która od początku próbowała bronić niezawisłości sądów w Sejmie, włączyła się w demonstracje i sama je organizowała. Duda, wetujący – po dramatycznym oczekiwaniu i zastanawianiu się – tylko dwie ustawy PiS (trzecia, o sądach powszechnych, pokazuje właśnie swoją destrukcyjną moc), dostał nagrodę w postaci większego zaufania i wyższych ocen działalności, a partie, które od początku wytrwale walczyły ze wszystkimi trzema ustawami sądowymi, zostały za to ukarane pogorszeniem sondaży.

To, że Duda musiał ratować demokrację z bagna, w które wpakował ją PiS, nie ma widocznie znaczenia. Bo PiS się ogólnie podoba, na razie więc wybaczone jest mu wszystko. Jest wielkie zapotrzebowanie na najmniejsze dowody dobroci PiS czy choćby mniejszego okrucieństwa niż zwyczajowo. To, za co opozycja nie doczekałaby się marnego słowa pochwały, w przypadku partii Kaczyńskiego jest traktowane jako wzruszający przejaw łagodności i umiarkowania. Choć to wszystko wydaje się dziwaczne i nieprawdopodobne, znane jest psychologom społecznym. Chodzi o zniwelowanie dysonansu poznawczego: dobrego 500 plus nie mogą przecież dawać bardzo źli ludzie. Najważniejsze – jak nigdy dotąd w III RP – okazują się materialne i społeczne czynniki: 500 plus, obniżenie wieku emerytalnego, niskie bezrobocie, podwyżki płac, nagłaśniana polityka uszczelniania podatku VAT, a wszystko to wspierane dobrą koniunkturą gospodarczą w skali globalnej. Optymizm przedsiębiorców i konsumentów bije rekordy dwóch dekad. To musi się przekładać na polityczne deklaracje.

Przypadek sądowiczy jest przełomem pozbawiającym opozycję złudzeń. Wyborcy najwyraźniej uznali, że jest im ogólnie lepiej, wystarczy tylko nie przejmować się ustrojowymi abstrakcjami, które dotyczą elit. Do tego dochodzi kwestia uchodźców. Blisko trzy czwarte Polaków jest kategorycznie za niewpuszczaniem ich do kraju pod żadnym pozorem i w żadnej liczbie. Ta kwestia, wciąż niedoceniana przez przeciwników władzy, z każdym dniem rośnie do rozmiarów narodowej ideologii.

Reszta spraw ma wyraźnie charakter pomocniczy, dodatkowy. Zyskuje chwilowe znaczenie, ale zaraz je traci. PiS zapewne nie poniesie uszczerbku ani na szkolnym chaosie, ani na reformie służby zdrowia, ani na dekoncentracji mediów, aferze billboardowej czy rozpadzeniu organizacji pozarządowych. Obniżki notowań partii rządzącej mogą być tylko incydentalne, jak w czasie brukselskiej batalii o Tuska. Podobnie w innych kwestiach. Zaostrzenie regulacji aborcyjnych nie groziło przez lata przy żadnej innej władzy niż dzisiejsza, a zdecydowana większość Polaków nie chce tu większych restrykcji. Czy to wpływa na pogorszenie notowań PiS, którego lider mówi o planach takiego zaostrzenia? Nie wpływa. Badania opinii pokazują, że Polacy źle oceniają politykę zagraniczną obecnej ekipy, niespecjalnie wierzą w reparacje za drugą wojnę światową, więcej – spodziewają się strat politycznych z tym związanych. W większości nie podzielają teorii o zamachu w Smoleńsku, zdecydowanie nie chcą dużego wpływu Kościoła na życie publiczne, krytycznie oceniają wiele poszczególnych decyzji rządu, mało ufają Kaczyńskiemu i Macierewiczowi, chcą być w Unii Europejskiej, z którą PiS się wciąż kłóci. Ale nie wpływa to na wyborcze preferencje.

Może to wynikać z odmiennych hierarchii. Grupa liberalna traktuje sprawy przestrzegania wolności obywatelskich, niezależności sądów, szanowania konstytucji i procedur jako nadrzędne i niewymienne na inne wartości. Znaczy to, że bez przestrzegania systemowych standardów nie ma mowy o zaakceptowaniu działań PiS

w jakichkolwiek innych sferach. PiS jest traktowany niepodzielnie, a tym samym jako niespełniający podstawowych standardów – odrzucany. Prof. Radosław Markowski nazwał to ostatnio w wywiadzie „czystym złem”. To jest stanowisko konsekwentnego „antypisu”.

Ale mniej lub bardziej zdeklarowani zwolennicy obozu rządzącego (i zapewne także ci wahający się) mają inną optykę: najważniejsze są „sprawy ludzkie”, „pomyślność rodzin”, „tożsamość wspólnoty”, przywracanie godności za pomocą socjału, wobec których kwestie abstrakcyjne, czyli procedury czy zasad demokracji – w rozumieniu zachodniego liberalizmu – są wtórne, bardziej dla elit. Standardy nie są może zupełnie nieważne, lepiej aby były przestrzegane, ale jeśli nie, to trudno.

Utwierdza się przekonanie, że widocznie nie można mieć wszystkiego, że działa prawo pakietów – albo liberalna demokracja i trójpodział władzy, albo tzw. skuteczność rządzenia, surowa sprawiedliwość i pewność wypłaty z budżetu. Bo może wyższa ściągalskość VAT nie jest możliwa bez groźby 25 lat więzienia za przestępstwa skarbowe? Może podwyżki płac w sektorze prywatnym są nie do osiągnięcia bez odpowiedniej siły nacisku wobec biznesu? Może z przestępczością nie da się walczyć bez trzymania prokuratury na krótkiej smyczy przez członka rządu. Może sędziowie nie będą szybko i porządnie sądzić, dopóki władza ich nie „zmobilizuje”?

Duże grupy wyborców godzą się de facto na konstytucyjne delikty PiS, bo już nie chcą słuchać, że „nie ma pieniędzy w budżecie” i że czegoś się po prostu nie da zrobić, bo to nieprzyzwoite, niekonstytucyjne, nieeuropejskie czy bezprawne. Nawet jeśli niektórzy prawnicy publicyści już odpadają od ściany i nie są już w stanie tłumaczyć kolejnych wpadek i nadużyć PiS, elektorat władzy jest bardziej wytrzymały i się nie brzdyczy.

Oczywiście polityka ekipy Kaczyńskiego jest balansowaniem na linie i może się załamać przy pierwszym pogorszeniu koniunktury, co czują przedsiębiorcy, którzy choć „optymistyczni”, praktycznie wstrzymali inwestycje. Wtedy nawet dożywocie za wyłudzenia VAT nie pomoże. Ale wizerunkowo jak dotąd wszystko się zgadza. A jeszcze jest w zanadru 500 dla emerytów i części nauczycieli, także Mieszkanie plus, jeśli ten projekt się rozrusza. Zarazem PiS próbuje przekonywać, że to, co daje wyborcom, nierozważalnie wiąże się z zanegowaniem dotychczasowych ustrojowych pryncypiów III RP oraz z określeniem nowego, „podmiotowego” miejsca Polski w Unii Europejskiej.

Opozycja nie jest w stanie przeciwstawić się tej narracji, bo też kombinacji praworządności i zarazem jakiegoś soft-populizmu dotąd nie ćwiczyła. Trwa gorąca dyskusja, jak odebrać poparcie PiS, a przynajmniej podnieść notowania liberalnej opozycji. Padają argumenty, że nie ma co się licytować z Kaczyńskim na rozdawnictwo, że nie wygra się, będąc tak samo nieludzkim wobec uchodźców jak obecna władza. Że nie wolno rezygnować z progresywnej tożsamości, tylko trzeba z otwartą przyłbicą iść do wyborczego boju.

Jest też druga opcja – ratować co się da z demokratycznego systemu, nie forsując tego, co się społeczeństwu generalnie nie podoba albo nie ma to dla niego decydującego wyborczego znaczenia. Że może da się połączyć 500 plus, restrykcyjną politykę uchodźczą, karną i fiskalną z przywróceniem Trybunału Konstytucyjnego do stanu używalności, z niezależnymi sądami, prokuraturą oddzieloną od rządu, przyzwoitymi mediami publicznymi i swobodnie działającymi organizacjami pozarządowymi. Tyle że takim podejściu zarzuca się cynizm i populizm bądź naiwność, bo na końcu z takiego melanzu pozostaje w istocie licytacja w rozdawaniu publicznych pieniędzy.

Środowiska opozycyjne pocieszają się, że w polskich wyborach kwestie ekonomiczne nigdy nie były decydujące, i to prawda. ►